



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Barbara Suprynowicz

Obrazy zapisane w pamięci

Miałam 5 lat, gdy wybuchła II wojna światowa. Pamiętam pierwsze bomby, które spadły na Lublin. Zginął wtedy poeta Czechowicz, który – jak się dowiedziałam 20 lat później – był przyjacielem mojego teścia. Widziałam cały w ogniu budynek przyległy do Bramy Krakowskiej (mieszkałam w pobliżu ulicy Podwale) oraz nocne ucieczki na pobliskie łąki podczas nalotów.

Mieszkaliśmy w kamienicy, gdzie było kilka rodzin żydowskich mających dzieci, z którymi chodziłam do szkoły. Nikt nie dokuczał dzieciom żydowskim. Razem bawiliśmy się na podwórku. Dopiero podczas okupacji niemieckiej paru wyrostków, których rodzice zostali folksdojcami zaczęli Żydówki i wyzywało je od najgorszych.

Mój ojciec prowadził warsztat rzemieślniczy, w którym zatrudniał Żyda o imieniu Motek. W pobliżu mego domu, na podzamczu był żydowski targ, gdzie kupowałam ulubione „bajgielki”. Później powstało tam getto.

Nocami pod moimi oknami rozlegał się ciągle warkot samochodów ciężarowych wyladowanych więźniami. Pod zamkiem, w którym było więzienie, ustawiały się długie kolejki ludzi z paczkami dla więźniów. Ojciec po aresztowaniu też tam trafił. Przebywał tam przez pewien czas. Odwiedzałam go wtedy i również stałam w tych kolejkach. Moja mama otrzymała wtedy gryps od ojca i srebrny sygnet zrobiony za porcję chleba.

Pewnego dnia prowadzono do więzienia młodego człowieka, który nagle zaczął uciekać przez nasze podwórko. Chciał się przedostać na łąki przez ogrodzenie z siatki, ale zanim zdążył przeskoczyć na drugą stronę został na niej zastrzelony. Było to moje pierwsze zetknięcie się ze śmiercią. Zapamiętałam jego buty, tzw. oficerki. Później wypędzono ludzi na plac przy Bramie Krakowskiej, gdzie powieszono kilku mężczyzn. Nie wiem kim byli i za co odebrano im życie. Po raz drugi widziałam powieszonych ludzi po wyzwoleniu na Majdanku, a byli to niemieccy oprawcy z obozu.

W 1942 roku nasz dom został otoczony przez Gestapo, ale aresztowano tylko mego ojca. Później dowiedziałam się, że ktoś doniósł o jego współpracy z partyzantami. Po kilku dniach znalazłyśmy z siostrą, robiąc porządki, podrzucony na szafie list, którego treść wskazywała na kontakty z podziemiem. Po krótkim pobycie na zamku zabrano ojca do Oświęcimia, skąd po selekcji wywieziono do Niemiec do pracy w zakładach „Dora”. W 1944 roku przywieziono na Majdanek pięć tysięcy wycieńczonych więźniów z Niemiec, wśród których był mój ojciec. Leżał w obozowym szpitalu, gdzie rozpoznał go znajomy i powiadomił matkę. W lutym 1944 roku zmarł z powodu gruźlicy płuc. Z tego okresu pamiętam jeszcze straszne zimy i mrozy, stopy odmrożone podczas stania w kolejkach po chleb, strach i dużo łez w poduszkę.

17 maja 1944 roku był nalot na Lublin, podobno z Anglii. Spadające bomby pozostawiały niewielkie leje w ziemi, ale rozrywały się z dużą ilością odłamków. Spadały głównie w okolicach zamku, gdzie mieszkałam. Zginęło wówczas kilku moich kolegów i ludzie, którzy kryli się w ogrodach obok mego domu. Podobno nie zginął wtedy żaden Niemiec. My schroniliśmy się w piwnicy i to nas uratowało. Datę nalotu zapamiętałam dlatego, że dwa tygodnie wcześniej nasza sąsiadka opowiedziała nam swój sen, w którym widziała na niebie płonącą datę 17 maja. Podczas tego bombardowania zginął jej 12-letni syn. Nalot poprzedziło oświetlenie całego nieba, co wywołało panikę wśród ludzi. Wszyscy zaczęli biegać bezładnie, wciskali się do naszego mieszkania na parterze domu i dopiero, gdy zaczęłam wrzeszczeć, że chcę do piwnicy, wszyscy pobiegli do niej. Tam przez cały czas głośno się modlono. Następnego dnia rano zbierałam z siostrą rozsiane po podwórku odłamki bomb i znalazłyśmy dużo katek żywnościowych na ciastka, które wyleciały z biura niemieckiej piekarni. Spragnione łakoci wybrałyśmy się do kawiarni Chmielewskiego. Pamiętam jak bardzo się bałam, gdyż siostra kazała mi jako młodszej wejść po te ciastka. Na szczęście nikt mnie o nic nie pytał. Dano mi całe pudełko deserowych ciastek bez żadnej zapłaty.

Po tym nalocie mama wywiozła nas na wieś koło Parczewa. W Milanowie przygotowywano mnie do I Komunii Świętej. Przebywałyśmy tam do wyzwolenia Lublina. Na wsi nie było jednak zbyt spokojnie, gdyż z okolicznych lasów przychodzili zawsze nocą partyzanci po żywność.

Po powrocie do Lublina zastałyśmy zniszczone kulami i splądrowane mieszkanie. Brakowało nam kilku niezbędnych rzeczy, ale uratowałyśmy życie.

W 1947 roku Towarzystwo Opieki nad Majdankiem wysłało mnie na dwa miesiące wakacji do Norwegii. Mieszkałam w Oslo w rodzinie będącej małżeństwem mieszanym. Ona była Norweżką, a jej mąż Erling Alexander był Żydem. Był on przed wojną w Lublinie. Mieli dwie córki, z których młodsza – Nanni była moją rówieśnicą. Wspominam ich z ogromną wdzięcznością. Te dwa miesiące były jak film o bogatym świecie, gdzie nie było śladów wojny.

Dziś, z perspektywy wielu lat, oceniam swoje życie jako szczęśliwe. Mam dwoje dzieci i dwie wnuczki, które nie znają wojny. Moja wiara pozwala mi kończyć życie ze świadomością dobrze spełnionego obowiązku i z wdzięcznością za wiele chwil szczęścia.